

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (36)

(fragmenty)



Dymna w Afryce

Poprosiłem Anię Dymną, by świeciła mi jako gwiazda podczas promocji mojej nowej książki „Podróż z tej i nie z tej ziemi” (migawki z sześciu kontynentów). Odpisała jak zwykle serdecznie:

„Kochany mój POETO! Też się za Tobą stęskniłam. Z radością się z Tobą spotkam i przeczytam Twoje słowa. Niestety nie mam jeszcze teatralnego repertuaru na listopad (...). Właśnie wróciłam z Kenii... byłam tam dwa tygodnie, a wydaje mi się, że wędrowałam kilka miesięcy. Jakiż piękny jest ten świat. Patrzyłam w oczy setek dzikich zwierząt, widziałam tysiące gnu, które w bojowych, zorganizowanych szykach przemierzają setki kilometrów w poszukiwaniu pastwisk – jako że trwa wielka migracja – jadłam obiad w towarzystwie krokodyli, hipopotamów, zebr, żyraf, guźców, hien... widziałam lamparta i polujące gepardy, no i lwice, i słonie, i surykátky, i sępy, orły, marabuty i setki tysięcy flamingów, spałam na dnie krateru, w chatkach bez dachów, w namiotach, otoczona małpami, Masajami, jaszczurkami wielkimi jak krokodyle, no i lizała mnie żyrafa... i pływałam w jeziorach i Oceanie Indyjskim z tak pięknymi rybami, że śniła mi się po nocach. Byłam na samym równiku i w czarcim wąwozie, i w sierocińcu dla małych słoników. Jadłam obiad w murzyńskiej chacie i zażywałam tabakę w domku masajskim, i... nie napiszę o wszystkim, bo o 7 rano jadę do Warszawy. W Krakowie wpadłam w taki wir obowiązków, że aż się dziwię, że to można wytrzymać... ale zamykam oczy i mam w sobie spokój i przestrzeń. Nie dam się zwałować. Całuję cię mocno, Zosie też. Dzięki, że o mnie pamiętasz. Anna Dymna”.

Mrozek się... rozmraża

Sławomir Mrozek znów pojawił się w Krakowie. Przyleciał prosto z Nicei, gdzie

mieszka na stałe. Między innymi pooglądał sobie w towarzystwie prezydenta Jacka Majchrowskiego konkurs tanga (obydwaj siedzieli, milcząc, z posagowymi minami na tronach; żaden nie ruszył do tańca). Potem autor „Tanga” w nieodległym empiku podpisywał pierwszy tom „Dziennika 1962-1969”. Chciałem się ustawić w kolejce po autograf, ale ogonek był tak długi (sięgał prawie do pomnika Mickiewicza, który musiał być o to mocno zazdrosny), że zrezygnowałem i mam książkę bez dedykacji. Bite 730 stron, a w Wydawnictwie Literackim zapowiedziane są jeszcze dwa podobne tomy.

Dziennik rozmiarami imponujący, choć nie da się ukryć – z dłuższymi (czyżby zawodziło Mistrza wrodzone poczucie skondensowanej formy?). O ile w życiu Sławomir skąpi słów i słyne z milczkowości, o tyle tu, w dziennikach, jest wręcz wielosłowny. W całości jednak dziennik wydał mi się interesujący przez to właśnie, że obrazuje z tak logiczną precyzją i bezwzględną uczciwością piekło introwertyka więzionego we własnym „jaizmie”. Piekło kogoś, kto jeśli nawet się stara wyjść z siebie i wiedziony ciekawością świata wędruje przez Europę, to i tak bardzo rzadko wyłamuje się naprawdę z kasy pancernej „ja”... Na przykład, gdy się upije (młody Mrozek dość często opowiada o upijaniu się).

Posagowy, zmrożony na zewnątrz i zmrzażający innych z najbliższego otoczenia – w dziennikach na chwilę się rozmraża, wychodzi ze skorupy i pokazuje, co siedzi w nim w środku. A w środku – jak to w środku – małżowato, niespokojnie, dramatyczne swary z sobą samym, choć na zewnątrz – chłód, mróz, skąpe gesty i słowa.

Jakże my się nieraz strasznie w środku męczymy, choć na zewnątrz tego nie potrafimy wyrazić! – zdaje się mówić...

Dla mojej żony te dzienniki mimo wszystko wydały się, jakby wyszły spod klawiszy maszyny ludzkiej z matematyczną konsekwencją zaprogramowanej, operującej geometrycznymi konstrukcjami stylistycznymi.

We mnie oprócz zachwytów dla przenikliwości intelektualnej mojego ziomka (też urodził się w Borzęcinie, 17 lat wcześniej niż ja) dzienniki nasunęły refleksje, że można być geniuszem myśli, a pisarzem mało wrażliwym na świat przyrody, kolorów, zapachów, nastrojów, czyli poezji, która w gruncie rzeczy bytuje poza sferą intelektu.

Nie ma też w stylu Mrozka owej cyrkowej Gombrowiczowskiej grandilokwencji, wygimnastykowanego pióra, które wyczynia z nim istne salto mortale...

...Nie ma miejsca na ciepło, afirmację świata, gorące uczucia, radość; sam siebie zresztą również obserwuje zimnym okiem biologa. Piszę w którymś miejscu: „Być kochanym – to mnie raczej zawsze przyprawiało o zażenowanie. Może dlatego, że od razu za tym widziałem swoją odpowiedzialność”. Ustokrotniony egocentryzm? Na pewno, ale literacko niezwykle pożywny i owocny; odkrywcze przemyślenia o ideach, stereotypach, abstrakcjach, o polskości, o tajemnicach ludzkiej natury, o zmieniającej się współczesności, a nade wszystko o napięciach między

Mrozkiem wewnętrznym a tym, który musi codziennie się tołkować z realnym światem, choć posiada naturę pustelnika i w nikłym stopniu rozwinięty gen współbrzmienia ze zbiorowością. Ten gen, w który obficie wyposażona bywa przeciętna pani Kowalska. Bo w gruncie rzeczy Mrozek czuje się zawsze i wszędzie obco (wyjątkiem od reguły był Kraków lat młodości, o którym czasem ciepło wspomina, ale... z którego u schyłku życia też postanowił uciec do Nicei, by dopełniła się jego obcość na obczyźnie).

Zastanawiający niedowład uczuć przemienia w konsekwentną metodę twórczą, podobnie jak Gombrowicz, który bał się „słowiańskiej miękkości”, liryzmu, nastrojowości i „kobięcych klimatów”, bo go to intelektualnie miało osłabić.

Mrozek tak jak i Szefer Witold (Gombrowicz nazywa w dziennikach „Szeferem” i ma przed nim wielki respekt) krytykuje polską miękkość, niepozwalającą zrobić Polakom kariery na emigracji. „W gruncie rzeczy – pisze – nigdy nie dochodzą do czegoś wielkiego ani nie odgrywają wielkiej roli, nie wychodzą poza poziom średnio zarabiających mieszczan, drobnych, średnich biznesmenów”.

Z drugiej strony – ot, paradoks, który nami rządzi! – Mrozek stwierdza, iż w istocie jest lirykiem, a nie epikiem...

Jednak skupiając się lirycznie na sobie, operuje skalpelem piekielnie wyostrzonej inteligencji i poetyckiej intuicji. Jest niesamowity, wręcz narcystyczny, w tropieniu stanów duchowych, wewnętrznych poruszeń. Stara się pogodzić podstawową grzeszność: obserwowania siebie subiektywnym „obiektywnym” psychoanalitycznym okiem. Rzecz trudna do pogodzenia...

Kto wie, czy nie ostatni to już z tej albo już zaprzeszłej epoki, kto jest tak skupiony na sobie? Kto traktuje własne życie nadwyzczaj serio, ba, kto przykłada taką wagę do drobnej chwili załamującej się w jego duszy, do każdego dnia przepuszczonego przez pryzmat indywidualnego przeżycia, do najlżejszych wewnętrznych impulsów i poruszeń?

Ludzie naszej epoki elektronicznej żyją bowiem coraz bardziej ekstrawertycznie, są niesieni zewnętrznąnością, nie stawiają jej duchowego oporu, nie mają czasu na komentarze, na własne życie wewnętrzne; niektórzy jakby w ogóle nie posiadali wewnętrznych światów, bo po co im – byłyby balastem, zawadzałyby w nadążaniu za ekspresową współczesnością.

Mrozek jako autor dzienników żyje po uszy zanurzony w wewnętrznym sosie i kosmosie myśli. Niektóre partie tekstu przenikliwe, odkrywcze, szczególnie gdy je pisze stylem swych sztuk. Trzyma się bowiem zdrowej zasady, że pisarz nie powinien zmieniać swojego języka na „naukowaty”, gdy pisze esej, na filologiczny, gdy pisze krytykę... Prawdziwy pisarz winien mieć wypracowany własny styl, którego nie należy zmieniać w zależności od formy wypowiedzi.

cdn.